

Wzrost...
owych. Złota Palma...
wóch kategoriach: dla tr...
nometrów i krótkiego. W...
stało ją dotąd dwóch Polaków...
„Pianistę” i Andrzeja Wajdę z...
„Żelaza”. W drugiej nikt z Polaków...
złoty” w pociągu kręca...
wiosny roku. To akurat...
owskiej i Polńskiego...
ze to dobry znak

...owaanej przestę...
guje się pieniądze, ko...
ma sieciową strukturę i ra...
je paliwami, drugi raz n...
...ozoiemców, skoro...
...? Biali mówiący po polsku...
...masz piękna mo...



K.P.
18.07.13

Adam Cebula "Miłość bubla"

Fahrenheit Crew

Miłość bubla.

Kilka dni temu odbyłem chyba dość emocjonalną rozmowę na temat czegoś, co dla tak zwanego normalnego człowieka jest prawie niezauważalne, a nawet, śmiem twierdzić, średnio rzecz biorąc, w ogóle nie do dostrzeżenia. Był abstrakcyjny, coś jak dobro ludzkości, wiemy, że jest, ale jak wygląda? To coś nazywa się Network Manager i występuje w dystrybucjach Linuksa. Jedną z cech owego - niewątpliwie genialnego - rozwiązania jest taka, że pilnie jest poszukiwana odpowiedź na pytanie: „Jak to cholerstwo wyłączyć?”.

Dla tak zwanego zwykłego użytkownika dziś zapewne nie istnieje za bardzo problem kompatybilności lamp błyskowych w aparatach „level entry”. Bo używa ów user lampy wbudowanej. Aliści, miałem okazję sprawdzić, starczy takiemu pokazać jedną małą sztuczkę, a zaczyna się martwić. Zauważy biedny foto-amator, że dał się na coś naciągnąć. Tamten może, a ja niekoniecznie. Tamten ma standardową stopkę, ja, niestety, jakąś super-duper, która, owszem, super-duper, ale nic do niej nie pasuje.

Co z tym network-menago? Ano, za starych dobrych czasów, po wklepaniu parametrów sieci, kilkoma prostymi poleceniami odpalało się na przykład tak zwaną masquardę. Dziś każdy normalny user ma w domu sprzętowy router i to mu nie jest potrzebne. To co jest, służy temu, aby mógł nic nie rozumieć z ustawień sieci, aby wystarczyło zaklikać „dhcp”. Takie jest założenie przy programowaniu. Bo jak user natrafi na jakiegokolwiek trudności przy instalacji, to ucieknie do innego systemu operacyjnego.

Stopka służy do tego, żeby pasowały jedynie nasze lampy. To znaczy... tak wyszło. Coś mi się zdaje, że tematu: „czy to do czegoś pasuje” nie było, ponieważ dawno z firmy wylecieli inżynierowie znający się na sprzęcie fotograficznym. Powodem było uznanie ich za typ określany „mister no”. Czyli faceta, który notorycznie krytykuje pomysły marketingu oraz szefostwa firmy jako głupie i obniżające faktyczną wartość produktu. Ci inżynierowie jeszcze zdawali sobie sprawę z tego, że istnieje jakiś standard. Niekoniecznie spisany na papierze, ale przestrzegany. No i że dobrze byłoby jednak go przestrzegać, bo może się okazać, że fotoamator zauważy, iż osobnik z aparatem konkurencji może, a on nie. I zacznie ostrzegać innych, by nie kupowali produktów firmy specjalizującej się w plazmach i konsolach do gry.

Istnieją obecnie samochody, w których w celu wymiany żarówki trzeba odkręcić przednie koło. Operacja do wykonania na warsztacie. Nie mogę zrozumieć, jak to coś dostało dopuszczenie do ruchu.

Nie wiem, czy to kwestia wieku, ale moje odczucia sprowadzają się do pytania „jak to można było aż tak spie...?!” Mam wrażenie, że to pytanie coraz częściej się pojawia. Owszem: są pomysły kontrowersyjne, ryzykowne, są eksperymenty technologiczne, rynkowe, można ryzykować, że coś wyjdzie albo nie, ale coraz częściej mamy do czynienia z sytuacją, w której pojawia się produkt oferujący w pewnych kwestiach rozwiązania BEZNADZIEJNE. Ewentualnie beznadziejny jako całość.

Konto w banku: kiedyś było to takie rozwiązanie dla bogatych. W dawniejszych czasach, o czym może nie pamiętamy, osobnik z gazurką albo chcący nam sprzedać cegłę był zjawiskiem o wiele częstszym. Z drugiej strony, banki oferowały znośne oprocentowanie, było to korzystne dla obu stron.. Obecnie pani w kasie chciała mnie namówić na to, abym płacił z pomocą karty, płacąc

dotatkowo za płacenie. Nie potrafiła mi odpowiedzieć, gdzie tu zysk, jeśli zauważymy, że wymachiwanie kartą przez obdartusa świadczy o nim raczej źle, obniża jego prestiż, bo to rozgłaszanie wszem i wobec, że dał się nabrać, że nie zauważył, że po pierwszej transakcji ewentualny zysk z oprocentowania zjedzą opłaty za kartę. Gdzie tu sens i logika? Jest jedna zasada, jaka zawsze występuje przy beznadziejnych produktach: może znajdzie się głupi, co kupi łyżę Świętej Weroniki czy szczebel z drabiny, co się śniła św. Jakubowi, albo nabierze się na „produkt firmy ubezpieczeniowej”, której zasadniczą cechą jest to, że obiecanych sum nie wypłaca.

Do części kretyńskich pomysłów już się przyzwyczailiśmy i nikt nawet ich głupoty nie zauważa. Na przykład: dokąd nie ma sprawy, że komputer szumi, a nawet wyje, to problemem są najwyżej dodatkowe koszty, jakie ponosimy w związku z koniecznością zasilania wentylatorów. Aliści, gdy ludzie zauważyli, że komputer może służyć za urządzenie do odsłuchiwania muzyki, to pomysły, by produkować jakieś niezwykle ciche, aczkolwiek nie całkiem, zasilacze i niezwykle ciche, choć nie całkiem, coolery czyli zestawy wentylatora z radiatorem do procesora, zaczynają wyglądać dziwnie. Dziwnie, bo moglibyśmy zrobić zupełnie bezgłośnie. Zwłaszcza gdy zauważymy, ileż to mamy za to zabulić.

Ktoś dawno temu, produkując zasilacz do komputera, nie martwił się o ciszę, bo hałas nawet podnosił prestiż maszynierii. Owszem, założenie, że maszyna ma być grzebalna dla usera, znaczy sam może do niej wkładać karty rozszerzeń, wymusiło, by ów zasilacz był useroodporny. Także całkiem zamknięty w metalowej obudowie, uniemożliwiającej wywołanie pożaru.

Dość banalne rozwiązanie, drobiazg który kiedyś był, wymagany przy budowie urządzeń elektronicznych, a mianowicie zasada, by do mocy strat cieplnych około 200 watów stosować wyłącznie grawitacyjne chłodzenie radiatorów, odeszła w niepamięć. To kiedyś uważano za objaw dobrej inżynierskiej praktyki: sięganie do czegoś, co może i niezbyt efektywne, ale na przykład polepszało dramatycznie bezpieczeństwo działania urządzenia, albo eliminowało z niego element hałasujący, wymagający obsługi czy choćby kontroli, jak wentylator. Eliminowało coś zawodnego, bo może się przestać kręcić. Coś zbędnego. Skoro da się zbudować całkiem bierny radiator, to zasady inżynierskie mówią, że budujemy go.

No cóż: gdyby producenci kompów stosowali się do powyższych zasad, to nie sprzedaliby zapewne milionów zasilaczy i procesorów do maszyn, których wentylatorki stanęły.

Czy to rodzaj [„zmowy zarówkowej”](#)?

Myślę, że jest znacznie gorzej: to nie zdrada, to niekompetencja. To powiedzenie przypisywano panu znanemu jako Charles-Maurice de Talleyrand, o którym Napoleon miał powiedzieć: „Jesteś łajnem w jedwabnych pończochach”. Zapewne jest ono jakąś parafrazą wypowiedzianej oceny egzekucji Ludwika, księcia Enghien: „To gorzej niż zbrodnia – to błąd”. Otóż musimy sobie zdać sprawę z pewnego faktu: niekompetencja to jedna z najgroźniejszych rzeczy, z jakimi człowiek musi się potykać. Z pewnością groźniejsza od potencjalnych spisków żarówkowych. Powód jest prosty: zmony monopolowe rozbijają odpowiednie instytucje. Kiedy jednak na przykład ludzie z braku refleksji zaakceptują głupie, szkodliwe rozwiązania, ci nieliczni, którzy usiłują przekonać, że to niedobre, są albo - w najlepszym razie - ignorowani, albo traktowani jak wariaci czy wichrzyciele, anarchiści starający się zburzyć porządek. Spiskowcy boją się odkrycia spisku, zwykle są jakieś wyraźne oznaki jego zawiązania, takie, które nie pozwalają mieć jakichkolwiek wątpliwości, że chodzi o obłowienie się czymś kosztem. Niekompetentni dadzą się pokroić za swoje pomysły. Spiskowcy działają na szkodę, głupi, o zgrozo, dla powszechnego dobra.

Spisek jest ograniczony do spiskowców, głupota powszechna. Spiskowców można zapuszkować i zyskać tym powszechne uznanie. Bardzo łatwo jest przekonać ludzi o czyjejs zdradzie, o ich własnej

durnocie - praktycznie niemożliwe. Chcesz wygrać wybory, wykryj jakiś spisek, a jeśli chcesz zadrzeć ze wszystkimi, żeby wywieźli cię na taczkach, albo spalili na stosie, to zacznij walczyć z głupotą tylko niektórych. Wystarczy.

Trudno, zawsze do tego wracam, rogiem obfitości, gdy idzie o samobójcze rozwiązania, jest walka z efektem cieplarnianym. Ostatnio pojawiło coś ciut nowego, jakkolwiek, jak to pomysły samobójcze mają, z jądrem nieodłącznej infantylności: baterijki zawsze muszą być. Pomysł ma werbalny sznyt nowoczesności, albowiem w nazwie występuje „smart grid”, lecz chodzi o to, by ludność miast i wsi wykupiła akumulatorki. Bo chyba musi się liczyć z tym, że okresowo sieć elektryczna nie będzie działać. Tak sobie myślę, że z powodu konieczności sponsorowania źródeł zielonej energii nie starcza kasy na remonty, więc grożą nam, bardziej czy zdecydowanie mniej planowe, w każdym razie wyłączenia. Zatem jak zechcesz wówczas korzystać z urządzeń na prąd, to musisz mieć baterijkę.

Na przykład do zasilania lodówki. Poniekąd wykrakałem. Sęk w tym, że lodówka to faktycznie jeden z najbardziej żarłocznych odbiorników w naszym domu. Sęk także w tym, że to urządzenie z urodzenia było przystosowane do okresowego zasilania. Bardzo okresowego, bo pierwsze lodówki były po prostu dobrze izolowanymi ciepłnie szafkami, do których wkładało się lód, czasem raz na kilka tygodni. Topniejąc, zapewniał w środku temperaturę lodówki. No i postulowałem, że raczej dobrym pomysłem byłby powrót do tej konstrukcji. Tyle że, zamiast ładować lód, uruchamiałyby się agregat chłodniczy wtedy, gdy mamy nadmiar prądu, już to z powodu konieczności utrzymania w ruchu reaktorów jądrowych (Czarnobyl to była próba, co stanie w momencie wyłączenia), już to z powodu nadprodukcji wiatraków, już to wtedy, gdy na dworze zimno i lód zrobimy małym nakładem pracy. Ale dałoby się na podobnej zasadzie chomikować energię dla zamrażarek. Tyle że potrzebna byłaby znacznie mniejsza moc do zasilania agregatu, który mógłby pracować ze zbiornikiem lodu jako chłodnicą. W przypadku klimy zbiornik lodu mógłby nawet służyć za zbiornik energii: do pomyslenia jest układ, który produkuje powietrze zasilające wentylację budynku - o temperaturze powiedzmy plus 18 stopni Celsjusza - w oparciu o zbiornik lodu i daje jeszcze pewnie zieloną energię. Tak, bo to silnik cieplny, z kotłem w postaci powietrza wlatującego z zewnątrz i chłodnicą w postaci owego lodu.

Obowiązujący pomysł, jak łatwo zgadnąć, jest taki, aby narobić możliwie najwięcej strat i kosztów. Żadnych znanych, starych, wypróbowanych i działających rozwiązań! Bo jeszcze dojdzie do oszczędności.

Po pierwsze, energia zmagazynowana w lodzie to na oko jakieś 0,33 megadżula na kilogram. W najlepszych akumulatorach mamy około 2,5 megadżula na kilogram. Zakrzykniesz, Drogi Czytelniku, że to 7,5 raza więcej! Zaledwie. Tak, zaledwie, gdy się weźmie pod uwagę, że woda nic nie kosztuje. Owszem, pewnie trzeba zapłacić za zrobienie beczki na wodę. Taki zaizolowany pojemnik, o pojemności, powiedzmy, 100 litrów, to będzie kilka stówek, przykładając miarę znaną z produkcji term do gorącej wody. Mniej niż 5 stówek, o ile nie pojawią się dopłaty do zielonej energii. Zgromadzi on 33520000 dżuli energii cieplnej. Standardowy akumulator 12 woltów 35 amperogodzin to 1512000 dżuli. Czyli w beczce mieści się drobne 22 razy więcej... Za mniej więcej podobną kasę. Sądzę, że to już uzmysławia, jak durnym pomysłem jest baterijka, ale można to i owo dorzucić. Sprawność układu ładowarka - akumulator - odbiornik: Wikipedia podaje jakieś 60%. Ale to wówczas, gdy akumulator dobrze działa, jak nie, to sprawność układu „leci na pysk”. Akumulator wytrzyma, jak ołowiowy, jakieś 400 ładowań, jak lepszy, to do 2000. Ale to wcale nie oznacza, że nie będziemy musieli go wcześniej wymienić, bowiem akumulator traci systematycznie pojemność i gdy nam spece od smart grid załatwią dość długie okresy bezprądowe, to będziemy musieli się ratować znacznie wcześniej.

Niestety, jeśli wziąć pod uwagę cenę za ilość przeniesionych w czasie całej eksploatacji kilowatogodzin czy dżuli, to najlepszym rozwiązaniem jest akumulator ołowiowy. A to oznacza

skażenie środowiska. Nie pomoże recykling - on tylko ograniczy to skażenie. Jeśli rzucimy się na akumulatory nowej generacji, to wygenerujemy uzależnienie od - na przykład - Chin, bo tamże mamy złoża pierwiastków ziem rzadkich.

Oczywiście, pomysł musi się podobać wszystkim, którzy mają nadzieję handlować baterijkami do zasilania urządzeń do tej pory zasilanych z gniazdka. Zarobią producenci, hurtownicy i detaliści, zarobią urzędy skarbowe. Tyle że, z punktu widzenia konsumenta, to sposób na wyjątkowo bezczelny rabunek. Nic więcej.

Z punktu widzenia entuzjastów ratowania świata to chyba rzut na taśmę dla ratowania ogromnej kasy, jaka poszła w tak zwane odnawialne źródła energii. Sprawa chyba zaczyna się właśnie dokumentnie rypać. Za sprawą kryzysu zaczyna się mówić o kosztach. To już kwota rządu kilku stówek na twarz na terenie zielonej UE. Znaczą, jeśli wziąć pod uwagę mapę wzrostów - czy raczej spadków - PKB, to czerwonej. W plecy ma Hiszpania, Portugalia, ale też Anglia: z powodu inwestycji w zielony prąd. Najbardziej dokapitalizowany sektor energii odnawialnej, zwanej także darmową, w Niemczech skutkuje cenami prądu mniej więcej 2 razy wyższymi niż w siernięznej Polsce. No i ostatnio pani Merkel zauważyła, że ładowanie rocznie 20 mld ojro dopłat (ach drobiazg, zaczynamy mówić, ile ta darmowa energia kosztuje) w eko bez ładowania kasy w sieci przesyłowej może się źle skończyć.

Nie ma pomysłu na „energię ekologiczną”. Są pomysły na złupienie społeczeństwa. Bierzemy dowolną technologię, walimy w nią kasę i żądamy dopłat takich, by była szansa na zwrot z „uczciwym” procentem w czasie, który nie przyprawi inwestorów o zawał serca.

Baterijka, wiatrak, fotoogniwo - to rozwiązania naiwne, wręcz beznadziejne. Samochodów elektrycznych w Polsce sprzedaje się po kilka, kilkanaście sztuk. To jest tak głupi pomysł, że największy entuzjasta ochrony przyrody wymięka. Aliści, gdy komuś zacznie się wyłączać zasilanie, to można oczekiwać, że także zmięknie i kupi baterijkę do lodówki. Finezja prowadzenia biznesu mieści się mniej więcej kategorii działań ongiś określanych przez Milicję Obywatelską „na rympał”.

Wiem, co może świtać w głowie w odpowiedzi na te rozważania o lodzie w lodówce: a czemu, kochany autorze, sam nie weźmiesz się za konstrukcję? Wymyślili panowie, co potrafili. Wymyśliłeś lepiej, nie krytykuj!

Co wymyśliłem? Po pierwsze, dobrym rozwiązaniem jest sprawna, działająca cały czas sieć elektryczna. Lodówka z lodem w środku jest jakimś wyjściem z kłopotów, jakie wynikają z pomysłów, by wyłączać prąd. Czy jest „w ogóle” jakoś lepsza? Niestety, odpowiem, to zależy. Jest dramatycznie lepsza od lodówki z akumulatorem, ale od tej naszej, zwykłej? Owszem, jest szansa, ale trzeba by ją bardzo dobrze zrobić. Z wielkim prawdopodobieństwem zastępowanie naszych zwykłych lodówek takimi z lodem byłoby wpuszczaniem na rynek czegoś gorszego. Może nie bubla, ale czegoś, co w sumie przyniosłoby użytkownikowi straty.

Chciałem pokazać tylko tyle, jak głupim pomysłem jest to, co nam zaproponowano: pomyśleć tyle, co strzelić palcami - i wskażemy rozwiązanie drobne kilkadziesiąt razy lepsze.

Mogę wskazać pewną ogólniejszą zasadę wymyślania lepszych rozwiązań z wysiłkiem porównywalnym do naszego pstrykania. Wystarczy wiedzieć, jak kiepskim urządzeniem są akumulatorki. Wspomniane 2,5 Mj na kilogram, utrata pojemności z ilością cykli ładowanie-rozładowanie, w rezultacie wysoki jednostkowy koszt energii. Koszt (za <http://moto.wp.pl/kat,55194,title,Ile-kosztuja-baterie-do-elektrycznych-samochodow,wid,14421662,wiadomosc.html>) baterijek do samochodu to 15-15 tys \$. Spodziewamy się, że przejedziemy na nich jakieś max. 200 tys km. To umiarkowanie optymistyczne założenie prowadzi do wniosku, że - przy

kursie 3,28 złotego za dolara - koszt kilometra wylądjuje na poziomie 24 groszy, mniej więcej takim, jak w samochodzie palącym pomiędzy 4 a 5 litrów na kilometr. Bez kosztów ładowania, serwisu, same baterijki.

Spodziewamy się fatalnego wyniku, bo wiemy, że kilo benzyny to ok. 47 megadżuli energii. Nawet zakładając kiepską sprawność silników cieplnych, na poziomie 35 %, benzyna jako nośnik energii jest wiele razy - najmniej siedem z kawałkiem - lepszym źródłem zasilania samochodu. Z akumulatorem wygrają nawet krowie placki. Dodajmy: z najlepszym akumulatorem. Ciepło spalania tych placków to jakieś 15 Mj na kilogram. Zakładając, że napędzamy nimi silnik Stirlinga, uzyskamy ok. 6 Mj energii mechanicznej z kilograma. Samochód napędzany krowim łajnem przejedzie przy tej samej masie zgromadzonego paliwa, jaką poświęcamy w samochodzie elektrycznym na akumulatory, co najmniej 2 razy więcej.

Co najmniej, bo w trakcie jazdy masa maleje i tym samym maleje zużycie łąjna na 100 km... Zauważmy: samochód na krowie placki jest nie tylko zeroemisyjny, ale, można podejrzewać, ujemnie emisyjny. Chroni bowiem naszą, ostatnio cholernie zimną, atmosferę przed rozgrzaniem z pomocą metanu ulatniającego się z fermentującego obornika. Reguła jest taka: jeśli zastępujemy w konstrukcji dobre źródło energii wielokrotnie gorszym, to spodziewamy się, że będzie fatalnie. Trudne do zrozumienia? Prąd elektryczny w gniazdku jest bardzo tani, prąd z akumulatora drogi jak cholera. Na samym starcie tracimy około połowy energii, bo sprawność dobrego układu ładowarka-akumulator-odbiornik to, jak się wyżej wspomniało, najwyżej 60%.

Jeśli mamy jakąś znajomość właściwości źródeł energii, to gdy nam wciskają baterijkę, my mówimy: krowie placki albo lód. Tak, samochód na łajno jest mniej więcej podobnie dobrą odpowiedzią na pomysły „ekologów” jak lodówka na lód. Jeśli już się upieracie...

Ale krowie łajno żadnym sposobem nie nadaje się do złupienia ludności. Dobrą metodą są biopaliwa. Na podstawie artykułu z roku 2010 (Aut. Ewa Klugmann-Radziemska, Witold M. Lewandowski, Krzysztof Ciunel, Robert Meler, Michał Rymś, Politechnika Gdańska. Wydział Chemiczny) „Bilans energetyczny cyklu produkcji i eksploatacji RME w indywidualnym gospodarstwie rolnym” można dojść do wniosku, że - pi razy drzwi - na produkcję jednostki bio-diesla potrzebne są dwie jednostki normalnej ropy do traktora. Albo dwie i pół.

Około 95% energii, jaką można pozyskać przy uprawie rzepaku, to „biomasa” czyli makuchy i słoma. Pomysł produkowania biopaliw jest doprawdy jakimś szaleństwem. Jakkolwiek oczywiście bilans musiał wyjść dodatni, to zauważmy, że pod warunkiem, że na przykład silnik zasilany zielonym paliwem będzie grzał wodę i ta woda do czegoś się nada...

Szaleństwo. Gdyby się upierać przy biopaliwach, to, po pierwsze, silnik Stirlinga... No nie. Po prostu, wymyślić sposób, by używany obecnie gaz ziemny zastąpić makuchami i słomą. To żaden wyczyn technologiczny, gaz ziemny służy zwyczajnie do ogrzewania, piece pracujące automatycznie zasilane słomą już są od dawna. A zaoszczędzony gaz zastosować do zasilania samochodów. To system CNG. Na nim w Argentynie jeździ, jak kilka razy pisałem, 1,5 miliona samochodów. Działa bez kłopotu.

Samochód na słomę z silnikiem Stirlinga to już był. Nie mam wątpliwości, że w chwili obecnej, gdy koncerny mają na celowniku łupienie ludzi za pomocą autka na baterijkę, nikt go nie będzie budował.

Najpopularniejszym biopaliwem jest alkohol etylowy. Pomijam to, że marnowanie daru Bożego grozi niebieską pomstą. Sęk w tym, że na przykład masa alkoholu mniej więcej odpowiada masie CO₂, wyprodukowanego przy fermentacji. To jest ciąg strat: najpierw odrzucana jest znaczna (drobiazg, jakieś 95%) część masy rośliny, która nie może zostać przefermentowana, potem wybieramy z resztki

coś, co się daje przerobić na cukier, na końcu energia zawarta w cukrze jest jeszcze tracona przez drożdże. Destylacja to też znaczna strata energetyczna. Tak na oko, za artykułem opublikowanym w wydawnictwie Politechniki Krakowskiej „Czasopismo Techniczne”, autorstwa „Tadeusza Komorowicza i Janusza Magiery, zatytułowanym „Wskaźniki efektywności wybranej instalacji produkcji bioetanolu”: energia spirytusu uzyskana z hektara kukurydzy to trochę więcej niż połowa, ok. 0,61 tego, co uzyskamy z hektara rzepaku. Jeśli przyjmiemy, że energia na uprawy spirytusowe jest podobna co na olejowe, taka, jak w pierwszej cytowanej pracy o rzepaku, to dostaniemy taki optymistyczny, przecież chodzi o napsucie, wynik. Przy czym sam proces pędzenia pochłonie 65% uzyskanej energii. Wychodzi na to, że gdy nie pożytkujemy darów Bożych zgodnie z ich przeznaczeniem, a lejemy do baku, odzyskujemy jakieś 15% energii, którą wkładamy w ich wyprodukowanie. Inaczej: jeżdżąc na spirytusie, zwiększamy emisję CO₂ jakieś 6,6 raza.

O ile zawsze wożę się na samej koncepcji efektu cieplarnianego, to tym razem muszę się poszkrabać w łepetynę z innego powodu: jakim cudem organizacje eko dały sobie wcisnąć aż taki bubel?!

Tu, chyba nie tylko moim zdaniem, mamy punkt wspólny ze wspomnianym na początku „psieniem” Linuksa. Nie wiem, na ile sprawa jest „wymierzona” czy sprawdzona, na ile faktycznie wymuszona przez userów, ale obawiam się, że w przypadku systemu darmowego, o rebelianckich korzeniach, który przecież nie musi walczyć o rentowność, pozycję na jakimkolwiek rynku, to, co się dzieje, jest jakimś odbiciem życzenia ludności.

Jeśli ktoś kupuje samochód, w którym w celu wymiany żarówki musimy wjechać na kanał, to znaczy, że albo nie bardzo nim jeździ, albo jest kompletnym idiotą. Takim idiotą, jakim może być nie człowiek, ale instytucja. Albo... dał się nabrać. Po prostu, nie wiedział, czego się wystrzegać, czego wymagać, nie spodziewał się takiej głupoty producenta.

Sprawa ACTA może się wydawać w tym zestawie czymś zupełnie z innej parafii. Przypomnijmy: ilu europosłów przyznało się, że nie zaglądało do tego, co siedzi w dokumentach, że nie miało „o tym wszystkim” pojęcia? No cóż... bubel-poseł sprowadza na nas bubel prawny.

Pogarszanie się średniej jakości, czy to towarów, czy to aktów prawnych, moim zdaniem jest pochodną psucia się jakości ludzi. Według mnie rozszerzają się obszary rozpoznanej głupoty, fobii, mitów, nieuzasadnionej nadziei, w które inni ludzie, produkujący czy to przedmioty codziennego użytku, czy to reguły współżycia społecznego, czy cele do osiągnięcia, jak zmniejszenie emisji CO₂, potrafią skutecznie wycelować.

Czy jesteśmy głupszy? Pewnie to zależy od kraju i okoliczności, od tego, o jaką wiedzę pytamy. Jednak moim zdaniem tak zwany przeciętny człowiek coraz mocniej przegrywa z manipulacją. Wierzy w dziurę ozonową albo sprzedawcy w salonie samochodowym, który przekonuje, że autko jest doskonałe, pomimo pewnych niewielkich niedogodności.

Jakie by nie były powody, gnębią nas buble. Myślę, że można dość śmiało powiedzieć, iż dystans pomiędzy tym, jak coś powinno wyglądać, a tym, jakie jest, zwiększa się - i to być może dramatycznie. Mogę jeszcze dodać: to chyba problem ostatnich kilkunastu lat. Jeszcze pod koniec XX wieku firmy ubezpieczeniowe zwykle wypłacały odszkodowania, banki oferowały konta i lokaty, które przynosiły przynajmniej nominalne zyski, a w mercedesie można było nie tylko wymienić bez kłopotu żarówkę, ale też lustro reflektora i końcówki spryskiwaczy.

Nie, to nie zmierza ku Apokalipsie. Raczej ku twardemu lądowaniu, po którym mnóstwo ludzi będzie musiało przyznać, że bubel jest buble, że trzeba się znać i że - niestety - się nie znamy. Będzie płacz i zgrzytanie zębów. Będzie konstatacja, że na przykład bublowaty system kształcenia, po którym absolwent nie rozumie, czym jest ciepło spalania, nie zna pojęć pozwalających zrozumieć, na

przykład, czym się różni benzyna jako źródło energii od akumulatora czy krowich placzków, należy zmienić na taki, po którym, czas przeszły trzeba zastosować, tę wiedzę miał. Wrócić od buble do dobrych rozwiązań. Tylko tyle i aż tyle.

Póki co, to jednak nie nastąpiło i jutro możesz się, Drogi Czytelniku, spodziewać rzeczy jeszcze głębszych niż dolewanie spirytusu do baku czy elektryczne samochodziki, w których każdą lampkę musi wymieniać spec w autoryzowanym warsztacie. Po prostu: ciągle tego chcemy.